Przyjaciel Ludu.

ROK DWUNASTY. **No. 16.** **Leszno,** *dnia* **18.** *Października* **1845.**



Legendy starego Marcina.

(Wyciąg z *Pamiętników Kwestarza.*)

Pan Rotmistrz.

— Gdzież pojedziem, Marcinie? — zapytałem, przejechawszy miasteczko.

— Gdzie oczy poniosą, mój Jegomość! —

— Tyś nieraz z kwestarzami jeździł, więc prowadź jak znasz lepiéj. —

— Już to, mój Jegomość, do blizkich tu dworów niéma po co zajeżdżać; bo Panowie z sąsiedztwa co Niedziela bywają w kościele i u X. Gwardyana, to on i sam u nich najlepiéj wykwestuje; nam więc potrzeba odsadzić się daléj trochę od gniazda. Na obiad zaprowadzę Jegomościa do mojego starego przyjaciela, P. Jana Bielewicza, strażnika lasów xiążęcych, ztąd o mil trzy. Zawsze od niego zaczynamy kwestę; jego baran szczęśliwy, bo poczciwą ręką i nie żałując daje; a choć powiadają o nim, że umié strzelby zamawiać i źwierzynę na swój cel ściągać, ale to nie prawda, bodaj im takie zdrowie! Źwierzyny u niego huk; cóż to dziwnego? zna pole, i wié kiedy na jakiego źwierza, czy na ptastwo najlepszy czas, a uczył się do tego regestru u sławnego Pana Wołodkowicza, którego zastrzelili w Mińsku; potém Xiążę przyjął go do siebie i dał mu porządne podłowiectwo; ożenił się zatém, już ma synów jak dębów, i córeczkę jak jagodkę; owdowiał, prawda, ale cóż robić? taka była wola Boska, i siedzi sobie teraz spokojnie, jak daj Boże do wieku każdemu poczciwemu. —

— Dobrze, jedźmy, rzekłem do Pana Bielewicza. —

Wlekliśmy się więc noga za nogą, mówiąc po cichu paciorki. Mój pan woźnica stawał niekiedy, dozwalając baranom poskubać trawki, i potrzęsając tabakę z rożka, a oglądając się na mnie niekiedy z jakąś skrzywioną miną; ja wzajemnie rozważałem jego *posturę*. Stary, ale czerstwy, wąs i czupryna siwe i gęste, twarz i nos czerwony, oko żywe, jak u młodego; miał na sobie habit przekrojony na kapotę, na nim szarą płócienną czujkę, z kapiszonem z tyłu dla okrycia od deszczu głowy, na któréj teraz wysoka czapka z czarnego barana sterczała, na płaszczu zawieszona koronka, a po kapocie spięty szérokim skórzanym pasem, z za którego rożek z tabaką wyglądał.

Po kilku takich popasach i poglądach na mnie, przerwał on nakoniec długie nasze, a widać, uprzykrzone jemu *silentium*.

— Ależ Jegomość milczysz jak pień? —

— A cóż mam gadać? mój kochany Marcinie! —

— A to Jegomościu trzeba było zostać Kapucynem, bo Kapucyni podobno nic nie gadają. Może Jegomościu zdaje się, że gadać z furma-

nem, to na godność Jegomościną nie przystało; ale ja i Prowincyałów woził, a brat za brat ze mną dyszkurowali. —

— I owszem, Panie Marcinie, i ja chętnie będę z tobą dyszkurował, tylko że ja piérwszy raz w tych stronach, więc o niczém nie wiém; chyba ty mnie rozpowiadać będziesz; a do tego, jedziem pojedyńczo, więc trudny rozhowor. —

— Na wszystko jest sposób. Ja wyuczyłem moje konie regularnie; można jak chcąc puszczać ich, i na przód i w tył, a kieruje głosem. Dropiaty jeszcze rozumniejszy bo sam do dworów zawraca się, i nawet kiedy on zawróci się, to śmiało zajeżdżaj... z próżnemi rękami nie odjedziesz. Więc ja siądę z Jegomościem, i będzie nam obudwóm weseléj, a przesiadając, pośniadamy sobie. Dobądź tylko Dobrodziéj puzderko — rzekł złażąc z wozu.

— A czy jest i puzderko? —

— Oho! znać, że Jegomość piérwszy raz kwestujesz. A jakżeż? i nie próżne: bo nim kto nam naleje, swój zapas na początek mieć potrzeba. —

Dostał więc Marcin z podemnie puzderko, o którém nie wiedziałem, i chleba bułkę. — Czekam z rąk Jegomości — rzekł do mnie; potém, wychyliwszy miarkę, która się także w puzderku nalazła, kroił zakąskę. Eliasz i Barabasz przyszli także po swoję porcyę; w długich wędrówkach przyswoił on ich do rąk; znali się z nim, jak towarzysze. Pamfil téż zjadł śniadanie, a Marcin usiadłszy ze mną — *Héj! dropiaty!* — krzyknął, i dropiaty powlekł się naprzód, a siwa za dropiatym.

— Czy wiész Jegomość, jakie to na prawo nieznajome miasteczko? —

— To Mir zdaje mi się. —

— A tak, Mir. A wiész Jegomość jaki tam jest dzwon? —

— Nie wiém. —

— Otoż ja Jegomościu powiém, bo o wszystkiém i wszędzie wiem cokolwiek. Człowiek to jakoś urodził się ciekawy, mowny, łowny i *gadativus*, więc lubię posłuchać i rozpowiadać, kiedy co warte. Otoż o tym dzwonie jest taka *dykteryjka*:

Nasz Xiążę Panie Kochanku jeździł dawniéj po cudzych krajach i wojował z Poganami; sam to często opowiada; więc tak mu raz przyszło kuso i niebezpieczno, że różne czynił *wota* pobożne, aby cudem Boskim ujść pewnéj zguby. Otoż szlubował wtenczas kościołowi mirskiemu taki dzwon, aby, gdy w Mirze na rezurekcyą zadzwonią, w Nieświżu słychać było; a to cztéry mile, mój Jegomość!

Więc jak tylko powrócił do Nieświża, kazał zaraz lać dzwon w Mirze; wyleli jeden, dzwonią na próbę — nie słychać w Nieświżu; Panie Kochanku dodaje złota i srébra do materyału, każe wylewać drugi większy; znowu leją i znowu dzwonią cały dzień — nie słychać! a trzeba koniecznie wypełnić *votum* co do joty; leją więc dzwon trzeci.....

Tymczasem jednego wieczora Panie Kochanku w dobrym będąc humorze, baraszkował sobie między swojemi i łgał na czém świat stoi; bo to już jego taki zwyczaj. At, zwyczajnie Panu wielkiemu wszystko wolno. Prawi cudactwa i każe wszystkim wierzyć. Kiedy jednak przebrał miarkę, nie dotrzymał Pan Michał Chodźko, który był piérwéj Koniuszym u Xięcia, kiedy ja byłem Masztalerzem, a potém on wyszedł na Pana, a ja na furmana, i jest zawsze faworytem Xięcia; powiedział więc: — Mości Xiążę! dzwon mirski słychać! — Wszyscy nadstawili uszy, ale nikt nie słyszał. Xiążę tylko potakiwał Panu Chodźkowi i mówił: — A widzicie Waszeć, jaki głośny mój dzwon! Dopełniłem *votum* regularnie. — A jakże nie ma być głośnym, podchwycił Chodźko, kiedy Xiążę Pan cały dzień kłamiesz, zapewne na jego głos i pamiątkę?

Bo Jegomość musisz wiedzieć, że kiedy gdzie dzwony leją, trzeba łgać różne nowiny; gdyby daleko się rozchodziły, to i głos od dzwonów tak rozchodzić się będzie.

Xiążę nie rozgniewał się jednak, tylko śmiejąc się powiedział do Chodźki: — Wasan sam taki, Panie Kochanku! — ale już dzwona nie przelewał; owszem, ochrzcili go Karolem, zawiesili na dzwonnicy, i Xiążę zawsze powiada: — *Słychać Karola w Nieświżu.* — A kiedy kto zaprzeczy, to on mówi: — Co ja winien, Panie Kochanku, że Waść nie masz takiego słuchu, jak Pan Michał Chodźko? — a prawdę mówiąc, nie kłamie, bo i sam ma imię Karol, a kiedy zacznie huczeć po swojemu, to *słychać Karola w Nieświżu* — i pokręcał głową Marcin.

— A czy nie wiész co, Marcinie, o tych sławnych złotych apostołach Xięcia? —

— Oto, nie wiém! jakże nie wiém? Pan Bukowski, szatny Xięcia, rozpowiada o nich każdemu, bo ich widział i woził. Szczéro-złote były, mój Jegomość! a wielkie jak chłopczyki od lat sześciu. —

— Ej czy nie mniejsze? —

— A kto ich tam mierzył? dość, że Xiążę wybierając się na wojnę z Poganami do cudzych krajów, wziął z sobą i apostołów; zawiózł ich najpiérwéj do Gdańska, a potém gdzieś daléj. A jak nie stało pieniędzy.... A héj! dropiaty! na prawo! a héj! —

Wjechaliśmy krętą drożką w ciemne lasy. Marcin przestał mówić o Apostołach, bodaj z gniewu, że ich już nie ma, czy namyślając nową legendę, gdy turkot pojazdu i koni dał się nam słyszeć z daleka.

— Kogoś spotykamy, rzekł Marcin. Może da Bóg dobry początek. — Dropiaty usłyszał także tentent, a przywykły widać do zakonnéj pokory, zszedł z drogi, ile gęstwina dozwalała, a Pamfil pobiegł naprzód i ujadać zaczął.

Pokazał się wnet na przodzie konny Jegomość suto i bunczucznie ubrany, w taratace gęsto taśmami złotemi szamarowanéj, z zawiesistą szlifą na jedném ramieniu, z ładownicą na szérokiéj taśmie złotéj, z pałaszem na pendencie i kołpakiem pikowanym na głowie. Poznałem więc po ubiorze, że żołnierkę traktuje.

Za nim jechał lózak po ułańsku z chorągiewką, a za ułanem wóz cztérma tęgiemi końmi, na którym jeszcze jeden *sługus* i przy furmanie kozaczek z bandurką; za wozem nakoniec szły przywiązane dwa konie powodne.

Sam czupurny, ale wesołego oblicza, z pięknym wąsikiem, którego pogładziwszy wdzięcznie, spójrzał na mnie wspaniale, i założył za pendent xiążeczkę, którą w ręku trzymał.

— *Laudetur* Jezus Chrystus! —

— *In saecula saeculorum!* — odpowiedział.

— A z którego klasztoru Pan Bóg prowadzi? —

— Z Nieświża, Jaśnie Wielmożny... Dobrodzieju — przypomniałem w samém zacięciu naukę X. Gwardyana.

— Stój! — krzyknął on na swój obóz, z którym nam trudno się było rozminąć; więc i ja się zatrzymałem.

— A czy jest Xiążę w zamku? —

— Niéma, odpowiedziałem; wyjechał niedawno do Białéj. (1) —

— To źle. Chciałem po drodze złożyć mu moje *homagium*. Zapewne dziś jeszcze z klasztoru, bo nie masz baranów. —

— Tak jest, Dobrodzieju! —

— Aleś młody na Kwestarza. To jakaś zapewne awantura wpędziła cię w kaptur. —

— Wcale nie. Taka była wola Boska i prawdziwa *wokacya*. —

— Może i to być; w twoim jednakże wieku i zdrowiu, jak uważam, lepiéjbyś wyglądał na koniu i w szeregu, jak w habicie i na kałamaszce. Wiész co? porzuć to wszystko, siadaj ze mną. Przebiorę cię wnet, i, jeżeliś szlacic, zrobię cię towarzyszem w pińskiéj brygadzie, w mojéj chorągwi, któréj jestem Rotmistrzem. Co Waść na to? —

Rozgniewany za ten niespodziany werbunek. — — Jestem szlachcic, rzekłem, równy każdemu. A cóżbyś Pan Rotmistrz powiedział na to, gdybym zaproponował wzajemnie, abyś zrzucił swoje bogate rycerskie ozdoby, bo to wszystko *vanitas*, i przypomniawszy na pieśń Świętego Łazarza, a na koniec nędzny bogacza, który: „*Pychę w sercu swém nosił*,“ oblekł się w nasz ubogi bernardyński habit, który ja Panu dostarczę? bo gotów jestem w takim razie wnet powrócić do Nieświża. —

Una salus servire Deo, caetera fraudes!

Bardzo *ad casum* przypomniałem sentencyę z mojego raptularza. —

(*) Hrabstwo bialskie, dobra Xiążąt Radziwiłłów, w obwodzie białostockim.

— Oho! odpowiedział Rotmistrz, to zamądrze na Kwestarza. Zgadłem, że musiałeś wprzód żyć na większym świecie. —

— A jużciż Kwestarzem nie urodziłem się; ale kiedy na wzajemne propozycye nasze nie zgadzamy się, to niech Bóg szczęśliwie Dobrodzieja prowadzi, a ja ruszam w moję drogę. —

— Poczekaj, rzekł Pan Rotmistrz, zsiadając z konia; nie rozstawajmy się tak w złych dyspozycyach; bo ani mnie dziś w podróży, ani Waści w kweście się nie powiedzie. Nie chciałem cię wcale obrazić, dla tego i nie gniewam się za twą odpowiedź. Komu innemu możeby to na sucho nie uszło, lecz z tobą, bracie, zapijem tę sprawę. Dobyć z wozu zapasy! —

— Niech i tak będzie, jak twoja łaska — rzekłem.

Dobyto więc nie żołnierskie, ale pańskie specyały; wódeczka gdańska, z którą odnowiłem dawną marszałkowską znajomość, potém wyborne szynki i pieczenie, tak, że się posiliło na cały dzień.

Pan Rotmistrz ochoczo i wesoło częstował. — Daj dowód, mówił on, apetytem, żeś z prawdziwéj wokacyi wstąpił do Bernardynów. — A gdy Marcin z innéj flaszki skosztowawszy staruszki, pokręcił głową i rzekł do mnie: — To nie nasza podróżna, mój Jegomość! —

— A macież puzderko? — zapytał panisko.

— Mamy, JWPanie! — odpowiedział Marcin, który bodaj i umyślnie się domówił.

— Nalać, rzekł Rotmistrz, flasz parę staréj, a flaszkę gdańskiéj Kwestarzowi, i dać mu szynkę na zakąskę.

— To dla ciebie, a to dla klasztoru — dodał, kładąc mi w rękę trzy dukaty ze złocistéj i pękatéj kieski wydobyte — weź na pamiątkę Rotmistrza pińskiéj brygady, który Kwestarzy do żołnierki werbuje. —

— Bóg ci zapłać — rzekłem, uściskając pokornie kolana tak wspaniałego dobrodzieja. On siadł na konia i ruszył swoim obozem.

Gdym ja na swoję siadał kałamaszkę, postrzegłem na ziemi xiążeczkę, wypadłą zapewne z za pendenta Rotmistrza; podjąłem; o jakże się zdziwiłem, przeczytawszy tytuł: „*Żołnierskie Nabożeństwo!*“ (2)

O zacny! o poczciwy! o bogobojny rycerzu! pomyśliłem sobie, niechajże cię wszystkie kule mijają! a twoja ręka jak Dawida, niech wali Goliatów! Powiadają, że w żołnierce ludzie się psują, że tam nié ma ni Boga, ni wiary; otóż dowód oczewisty, że to fałsz i *kalumnia*. Pan widać z Panów, od złota świeci jak słońce, a przecięż w drodze pobożnie z xiążeczki modli się, urazy po chrześciańsku przebacza, i jeszcze hojnie obdarza tego, który go obraził. Xiądz Gwardyan choć powiadał, że Doktor i

(2) Xiążeczka ta do nabożeństwa, dawniéj dość pospolita, teraz nader rzadka.

Teolog, bodaj więcéj sobie roi złego na świecie, niżeli jest w rzeczy saméj.

Wtém ułan Pana Rotmistrza dognał nas, pytając, czy nie należliśmy pańskiéj xiążeczki do nabożeństwa? Oddałem więc onę, wprzód pocałowawszy pobożnie, i rzekłem: — Powiedz twemu Panu, że oto tak całuje nogi jego ubogi Bernardyn Kwestarz, nie tylko za to, że go hojnie obdarzył, ale i za to, że w pańskiém jego ciele pobożna i chrześciańska dusza. A jak się nazywa twój Pan? —

— Jaśnie Wielmożny Rotmistrz Chomiński! — i odjechał.

— No! no! godny Pan! niéma co powiedzieć. Mówiłem, że Bóg da nam początek dobry; choć mógłby dać śmiało i jeszcze z parę czerwieńców, bo worek djabelnie pękaty; ale teraz ludzie skąpieją. —

— A milczże do licha, rzekłem; czyż jeszcze mało? wszakże nawet o tobie nie zapomniał, i upodobanéj wódki staréj parę flasz nalać kazał. —

— Oj bo ja nie głupi; ja za jednę gdańskiéj, wyprosiłem jeszcze dwie staréj u tego, który szafuje dobrem pańskiém; a zatém mamy nie dwie, ale cztery flaszki staruszki. —

— To źle, Panie Marcinie, bo nie pamiętałeś na mnie; ja wolę jeden kieliszek, a dobréj wódki, niżeli dwa, a ladajakiéj, bo upijać się nie lubię. —

— To nie po bernardyńsku, mój Jegomość! Mniejsza o smak, byle wiele i zdrowo, to grunt! a stara wódeczka do głowy nie idzie, tylko żołądek ogrzewa. Cały świat wié o tém, i cały świat mnie za ten handel pochwali. Jegomość pij i nie dbaj! A héj, *dropiaty!* —

Nie było co odpowiadać mrukliwemu Marcinowi, a wtém wyjechaliśmy na pole, na którém domostwo Pana Bielewicza ujrzeliśmy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Adolf Thiers.

Któremuż z czytelników pisma naszego nie jest znane nazwisko Thiersa? owego ministra, który przed kilku laty całą Francyą myślą wojny zelektryzował, a sąsiadów niejakiéj niespokojności nabawił? którego historya rewolucyi francuzkiéj, historya konsulatu i cesarstwa, nie jednemu z naszych czytelników wiele godzin przyjemnych nadarzyła.

Betlejem (Bethlehem).

(Dokończenie.)

Gdyby Rząd wschodni dobrze pojmował swój pożytek, toby Betlejem stało się miasteczkiem bardzo kwitnącém: bo ziemia żyzna mogłaby i zachęcać do pracy i wzbogacać mieszkańców; ale ustawiczne uciski, dowolne nakłady podatków, tym więcéj zrażają, im bardziéj są przekonani, że Rząd nie wyciąga od biédnych, ale od bogatszych rozmaitéj opłaty, że być dostatnim, jest to narazić się na zdzierstwo i prześladowanie. Ztąd każdy woli próżnować, jak pracować nie dla siebie. Ten ucisk Rządu spada najczęściéj na klasztory, bo mieszkańcy nie mogąc, lub nie chcąc zapłacić nałożonéj daniny, zmuszają duchownych do zastępstwa, niby przez wzgląd na protekcyę, jakiéj używają od mieszkańców. Zresztą są przekonani, że Zakonnicy powinni za nich płacić dla tego samego, że oni są Katolikami; jakoż często grożą przejściem do innéj wiary, ale to są tylko strachy, bo do odstępstwa i mieczem nie dadzą się skłonić. Jeśli zaś wszelkiémi gwałtami nie mogą wycisnąć pieniędzy u Zakonników, a sami nie mają czém zapłacić, wtedy po prostu rzucają miasteczko i z całym dobytkiem przechodzą do Arabii, gdzie poczekawszy trochę, za zwolnieniem pretensyi Rządu, wracają znowu do domów; albo też, jeśli czują siłę, stawią opor z bronią w ręku.

Smętarz znajduje się obok łacińskiego klasztoru i parę razy byłem świadkiem dziwnego obchodu pogrzebowego, który właściwy jest téj okolicy, bo tylko w Betlejemie i we wsi Jeremjasza późniéj widziałem; sądzę, że i w drugich poblizkich wsiach to samo się zachowuje. Za przyniesieniem ciała na smętarz, krzyki, śpiewy i tańce kobiét razem się mieszają, i długo kobiéty niby nie dają zmarłego pogrzebać, skacząc same w dół, nim ich nareszcie mężczyzni oddalą i pochowają nieboszczyka. Po pogrzebie jeszcze przez siedm dni zbiérają się na mogiłę. Piérwszego ranku usłyszałem głos jęczący kobiét, i dowiedziawszy się o przyczynie, wyszedłem dla przypatrzenia się temu obrzędowi, który przypomina czasy pogańskie. Już od trzech dni spoczywał zmarły w grobie. Zastałem ze trzydzieści kobiét, siedzących wielkiém kołem, a w środku na mogile stały dwa wielkie kosze warzonéj nie mełtéj pszenicy i w naczyniu glinianém kurzyło się kadzidło. Kobiéty monotonicznym ale przeciągłym i jęczącym głosem śpiewały wszystkie razem, potém nagle cichły i tylko jedna smutną pieśń wiodła, nim znowu powszechny jęk nie połączył się z jéj śpiewem. I tak powtarzają często. W czasie śpiewu ciągle wszystkie okręcały pomalutku rękę koło ręki, a krewne zmarłego odziane czarnym welonem biły się dłońmi w obnażoną twarz i piersi. Boleśnie na to patrzeć, bo tam jest szczéry i dziki obraz smutku. Po dobréj godzinie takiego jęku, przyszedł Kapłan grecki i turybularzem okadził mogiłę. Kobiéty powstały, a krewne zmarłego rozdawały każdéj ten pęczak pszeniczny. Potém udały się na miejsce równe nie daleko od smętarza, i uformowały wielkie koło w ten sposób, że każda rękę prawą trzymała na ramieniu lewém drugiéj przy niéj stojącéj niewiasty; wtedy nuciły pieśń, która pomimo jęczących tonów, miała jakieś podobień-



Adolf Thiers.

stwo do naszego kozaka; naprzód jedna połowa koła śpiéwa, a potém druga, i tak na przemian ciągłą pieśń utrzymują. Tymczasem całe koło niewiast obracało się pomalutku na jedném miejscu. W pięć minut wskoczyło w środek koła kilka niewiast i uformowało drugie mniejsze koło, które pląsało bardzo wysoko, co dziwnie odbija przy powolnym ruchu wielkiego koła. Każda z hasających w mniejszém kole, biła się w twarz obiema rękami, a jeśli była krewna z czarną odsłoną, wtedy zdzierała z siebie welon, ciskała go pod nogi i skakała z rozczochranemi włosami. Potém skaczące koło łączyło się z wielkiém i znowu inne niewiasty wbiegały do środka, aby się bić i wysoko podskakiwać. I tak śpiéw i taniec trwały godzinę, nim się kobiéty rozeszły do domów. Nie łatwo opisać piérwsze wrażenie grobowego tańca. Zdaje się, że nagle przeniosłeś się w czasy starożytne, że jesteś świadkiem dawnych pogaństwa obrzędów. Wszystko najdoskonaléj utrzymywało złudzenie. Ten śpiéw wpół dziki, wpół rzewny i łagodny, ta mieszanina tonów żałośnych ze skocznémi, to koło obyczajem dawnym połączone fantastycznie przez położenie ręki na ramieniu drugiéj osoby, ten ruch, prawie nieznaczny przy najżywszém pląsaniu, te starożytnych wieków fizyonomje przy dawnych malowniczych strojach; słowem: wszystko działało na wyobraźnię i zmuszało niejako podzielać smutek. Kobiéty były wzrostu słusznego i kształtnéj kibici, wszystkie młode, bo stare są wolne od tych pląsów; rysy twarzy pospolicie ładne i noszące na sobie wyraz podobny starożytnych wyobrażeniu. Długą ich koszulę, albo tunikę błękitną z rękawami bardzo szérokiemi i długiemi, szczelnie opinał czerwony kaftanik po kolana z pół rękawkami wąziutkiémi, a na wierzchu nosiły biały welon wielki jak prześcieradło, i często oszyty frędzlami kolorowemi, którą to zasłoną umieją z niepospolitym wdziękiem okrywać głowę w malutkim zawoju. Dla tegom ci tak starannie opisał ubiór kobiét, że tu powszechne jest podanie, jakoby Najświętsza Panna podobny strój nosiła. Pominąwszy, że na starych obrazach zupełnie widzimy to samo odzienie, jeszcze jest rzecz bardzo podobna do prawdy z tego względu, że na wschodzie dawne zwyczaje niezmiernie się długo trzymają. Ubiór Betlejemitek prawie ten sam, co w innych okolicach Palestyny, tylko że nié ma nowszych i szpecących dodatków, jako to: przepasek pod brodą lub na czole z pieniędzy nanizanych, albo malowań twarzy i tym podobnych rzeczy. Betlejemitki o tém podobieństwie ze strojem N. Panny doskonale wiedzą i za nic w świecie nową ozdobą nie zechcą stracić tego podobieństwa. Bardzo byłem ciekawy tych pieśni, które przez dwie godzin śpiéwały, alem się nie mógł dowiedzieć, bo sami ich mężowie powiadali, że to nawet dla nich jest tajemnicą. Trudno jednak zgodzić się, aby kobiéty mogły w takiéj tajemnicy zachować pieśni obrzędowe; prędzéj wnieść można, że jak ten obrzęd jest dawny pogański, tak i pieśń musi miéć mnóstwo niezrozumiałych wyrazów, może chaldejskich, syryjskich lub fenickich, które pomieszane z nowszemi słowami, stanowią tajemnicę i dla samychże niewiast. Duchowni wszystkich wyznań darmo kusili się różnémi sposobami usunąć ten zwyczaj pogański, a wreszcie chcąc nie chcąc muszą pobłażać; za nic bowiem nie dadzą się od tego oderwać, co ich przodkowie czynili.

Dawniéj obyczaje bardzo były ścisłe i dowiedziona niesława niewiasty tylko jéj krwią mogła być zmazaną. Lecz złoto angielskie rozpoczęło bój zepsucia od tych, do których należała ta straszna kara, t. j. od mężów, braci i ojców, a ci teraz z jednéj ostateczności wpadli w drugą całkiem przeciwną. Betlejemici więcéj od innych mieszkańców mają ogłady i uprzejmości, nawet możesz u nich postrzegać ślady europejskiéj cywilizacyi; co nastąpiło przez częste ocieranie się z Europejczykami, a szczególniéj za pomocą szkółki Xięży Bernardynów; wszyscy bowiem mężczyzni, Katolicy, mówią po włosku, a tym sposobem jeszcze są bardziéj zbliżeni do Franków.

W ogóle zastanawiając się nad charakterem prostych Arabów, postrzegasz wiele sprzeczności, jednakże strona dobra i łagodność zawsze przemagają. Wprawdzie czasem posłyszysz o jakimś uczynku barbarzyńskim, ale ten zawsze będzie jakiemiś zwyczajami uprawniony. Wszędzie tu daje się postrzegać mieszanina dzikości i największéj delikatności, zupełnego wyuzdania i najsumienniejszego pełnienia praw i zwyczajów. Napaść na karawanę, zrabować podróżnego, dopełnić jakichś gwałtów, a czasem nawet i mordów, mają za rzecz ledwie nie rycerską i nieraz ztąd sławę odnoszą. Przeciwnie jeśli towary lub żywność prowadzi jedno dziecko, albo kobiéta, wtedy nikt nie ośmieli się wyciągnąć ręki po zdobycz, a na gwałciciela tego zwyczaju całe pokolenie broń zemsty podnosi. W czasie zamieszek, XX. Bernardyni właśnie tym sposobem sprowadzają żywność z Jerozolimy; a ci ludzie, którzy nieraz gotowi są napaść na klasztor i zrabować, patrzą spokojnie, jak mały chłopczyk, albo niewiasta, wiozą do klasztoru żywność.

Jeszcze jedno dzieło Tadeusza Czackiego, (w rękopisie) mogące tworzyć czwarty tom wydania Edw. Hr. Raczyńskiego.

Przez *Pr. K.*

Tadeusz Czacki urzędował od r. 1786. jako Członek Kommissyi skarbowéj R. P., do r. 1792. Ten okres w jego publiczném życiu jest podobno najważniejszy, a pomnikowém dziełem jego z tego okresu jest:

„Zbiór pism dyplomatycznych, do jakich r. 1790. dało Rzeczypospolitéj polskiéj powód rokowanie pod przewodem i piórem Tadeusza Czackiego o traktat handlowy z Królem pruskim;“

w rękopisie formatu arkuszowego większego, liczącym stronic 180, czyli arkuszy 45, opatrzonym własnoręcznemi podpisami, a gdzie niegdzie dopisami Tadeusza Czackiego, tudzież własnoręcznemi podpisami Michała Ogińskiego, autora znanych *Memoires* 4tomowych, Stanisława Jelskiego i J. Mikorskiego.

To dzieło daje widzieć, do jak żałosnego położenia została przywiedziona Polska z winy Królów swoich, którzy przez wszystkie wieki jéj bytowania wypuszczali z rąk swoich prowincye nadmorskie, czyli niejako uciekali od mórz baltyckiego i czarnego; a zarazem uczy, o ile okropność swego położenia, z takiéj przyczyny pochodzącą, uczuł cały naród w ciągu swego ostatniego ocknienia, to jest, podczas czteroletniego swego sejmu. Gdy Prusy królewieckie z winy Zygmunta I., hołdownictwo Multan i Wołoszczyzny winne Polsce i Inflanty przez błędy Zygmunta III., Kurlandya z winy Władysława IV., zginęły dla Polski, a Gdańsk imieniem tylko nie rzeczą należał do niéj podówczas; tedy jedynym dla niéj ratunkiem był traktat handlowy z Królem pruskim, o któryto traktat, po doszłym dnia 29. Marca r. 1790. przymierzowym, zaczęła ona silnie rokować. Te rokowania wydały niniejsze dzieło, rozjaśniające najważniejszy dramat z wiekopomnego okresu ocknienia Polski; dzieło, w którém panuje geniusz, nauka i pióro Tadeusza Czackiego.

Poczet pism tego dzieła.

1. O stanie rokowań handlowych między Rzecząpospolitą polską a dworem berlińskim r. 1790., od stronicy 3—6.

2. Zasady do traktatu handlowego R. P. z Królem pruskim, od stronicy 6—7.

3. Projekt do tego traktatu, podany przez Luchesiniego, Ministra pruskiego, oparty na ustąpieniu Gdańska i Torunia przez Polskę Królowi pruskiemu, od stronicy 7—14.

4. Projekt do tegoż traktatu ze strony Polski, podany przez deputacyą spraw zagranicznych, od stronicy 14—19.

5. Myśli delegacyi skarbowéj o tych projektach, objawione pod przewodem Tadeusza Czackiego dnia 15. Kwietnia 1790. deputacyi zagranicznéj, od str. 19—32.

6.—7. Deputacya spraw zagranicznych donosi Kommissyi skarbowéj, iż Dyrekcya solna cesarska chce wejść w układy z Polską; i odpowiedź Kom. skarb. z dnia 12. Kwietnia roku 1790., od str. 32.—33.

8.—9. Pismo Michała Ogińskiego, pod d. 16. Kwietnia 1790., z okoliczności powołania siebie do zasiadania w delegacyi traktatowéj, i odpowiedź dana mu pod tąż datą przez Kommissyą skarbową, gdzie z chwałą wspomina prace Czackiego i jego towarzyszów, około dzieła traktatów handlowych, od str. 33—34.

10. Postrzeżenia, w dniu 21. Kwietnia 1790. na konferencyi delegacyi skarbowéj i deputacyi zagranicznéj poczynione nad zarysem traktatu handlowego z Królem pruskim. Tu od deputacyi stawali Antoni Dzieduszycki i Seweryn Potocki, od str. 34—43.

11. Uwagi deputacyi zagr. nad myślami delegacyi skarb. o zarysie traktatu, wyżéj pod d. 15. Kwietnia Nr. 5. spomnionemi. Tu występuje własnoręczny podpis Michała Ogińskiego, od str. 43—50.

12. Pismo Michała Ogińskiego z okoliczności powołania siebie, na poselstwo do Holandyi, podane d. 9. Czerwca 1790. Tu Ogiński przyznaje Czackiemu dzieło rokowań o traktat handlowy z Królem pruskim, od str. 51—52.

13—14. Pismo deputacyi zagr. w rzeczy odniesionéj do traktatu handlowego R. P. z Królem pruskim, od str. 52—60.

Przestroga. Następujące pisma, od liczby 15. do 23. włącznie, są w języku francuzkim.

15. Nota pod d. 7. Czerwca r. 1790. przez

Hiacentego Małachowskiego, Kanclerza, podana imieniem deputacyi zagranicznéj do Posła angielskiego *de Hailes*, wzywająca jego wpływu na pomyślny wypadek rokowań o traktat handlowy z Królem pruskim, od str. 60—62.

16. Odpowiedz tego Posła z dnia 9. Czerwca 1790., str. 62.

17. Nota deputacyi zagranicznéj do Luchesiniego pod d. 9. Czerwca 1790., utyskująca na utrapienia, jakie Król pruski zadaje handlowi polskiemu, od str. 63—64.

18. Nota téjże do tegoż, z okoliczności nieprzepuszczenia przez Władze pruskie, z Gdańska do Warszawy, soli Meisnera, Bankiera warszawskiego, od str. 64—65.

19. List Króla Poniatowskiego z dnia 17. Marca r. 1790., uprzedzający nader trafnie Friedricha Wilhelma II., iż Polska na drodze sojuszu i wiary postanowiła zespólić los swój z losem Króla pruskiego. (Ten Sojusz został zawarty w krótce potém, bo d. 29. Marca r. 1790.), od str. 66—67.

20. List odpowiedny, obszerny, Króla pruskiego pod d. 17. Kwietnia r. 1790., gdzie ten Pan, zbywszy kilką słowy rzecz o Sojuszu, rozwodzi się nad swemi cłami i względnościami handlowemi dla Polski; za te zaś ostatnie żąda od niéj, aby mu odstąpiła Gdańska i Torunia, od str. 68—73.

21. Gruntowne i uczone uwagi Antoniego Dzieduszyckiego, nad tym listem Króla pruskiego, od str. 74—86.

22. Ważna nota Laurentego Engeström, Posła szwedzkiego, pod d. 24. Kwietnia 1790. do deputacyi zagranicznéj podana, z okoliczności konwencyi kurlandzkiéj r. 1762. przez Rossyą na hołdowniczym względem Polski Księciu tego kraju znaglonéj, od str. 87—91.

23. Odpowiedź deputacyi na ten list pod d. 15. Maja 1790., od str. 91—92.

24. Zmiany i poprawki, do poczynienia w zamierzonym traktacie handlowym podane d. 19. Sierpnia r. 1790. przez delegacyą skarbową, od str. 92—95.

25. Zarys tego traktatu w XI. artykułach, przed jego poprawą, od str. 96—103.

26. Dwie noty w sprawie handlu po francuzku przez Tadeusza Czackiego do Księcia Moldawii napisane, jedna pod dniem 31. Lipca r. 1787., druga pod dniem 2. Sierpnia r. 1787., od str. 104—112.

27. Rzecz o handlu i traktatach handlowych Polski z Turcyą i z innemi Państwami zawieranych, wypracowana przez Tadeusza Czackiego, pod względem historycznym, geograficznym, statystycznym i dyplomatycznym, od str. 112—140.

Przestroga. O téj ważnéj, uczonéj pracy T. Czackiego, jako o rękopisowéj, spomina Aloizy Osiński na str. 398. swéj książki z r. 1815. pod tyt.: *O życiu i pismach Czackiego.*

28. Nota Posła angielskiego *de Hailes* (po francuzku) podana deputacyi zagranicznéj z okoliczności jéj rokowań o traktat handlowy z Królem pruskim, utrudzanych z pretensyami tego Króla do Gdańska i Torunia, od stronicy 141—145.

29. Stanisław Jelski, hołduje zasługom T. Czackiego około rokowań handlowych, od stronicy 145—146.

30. Wyjątek z listu, który z Reichenbach pisał Książę Jabłonowski, tudzież własnoręczne podpisy T. Czackiego, Stanisława Jelskiego i J. Mikorskiego, poświadczające autentyczność niniejszego rękopisu, z dnia 12. Września roku 1790., od str. 146.

31. Sekretarz miasta Gdańska, Kahlen, pisze (po francuzku) dnia 7. Września 1790. do deputacyi zagr. z okoliczności zamierzonego traktatu handlowego R. P., z Królem pruskim, od str. 146—148.

32. Odezwa miasta Torunia do téjże deputacyi, po łacinie napisana dnia 16. Kwietnia r. 1790., z okoliczności utrapień, na jakie Król pruski wystawił to miasto, równie jak Gdańsk, od r. 1775., od str. 149—156.

33.—35. Trzy listy przez Pana *de Hennig*, pod d. 13. 17. 24. Września r. 1790., z Gdańska do deputacyi zagr. po francuzku napisane, z doniesieniami, jakie złe wrażenie sprawiały na Gdańszczanach rokowania o traktat handlowy polski z Królem pruskim, od str. 156—161.

36. Listy deputacyi spraw zagr. z dnia 21. Lipca 1790. (po francuzku) do Księcia Jabłonowskiego, od str. 161—162.

37. Ostateczny, po dotychczasowych naradach delegacyi, notach obcych, a utyskiwaniach miast Gdańska i Torunia, wyrob zarysu XX artykułów traktatu handlowego R. P. z Królem pruskim, zaświadczony własnorręcznie przez Tadeusza Czackiego, od str. 163—180.

Przypis.

W książce Aloizego Osińskiego, p. t.: *O życiu i pismach Tadeusza Czackiego*, z r. 1815., która zapewne będzie użyta do skreślenia życia Tadeusza Czackiego, jakiém Hr. Edw. Raczyński zapewne opatrzy swoje wydanie dzieł tego autora, na stronicy 240 opowiedziawszy Osiński, że Czacki już chory przybył z Żytomierza do Dubna, dla widzenia się z Księciem Kuratorem Czartoryskim, pisze, iż tamten *mdlejącym głosem spominał jeszcze o swoich nadziejach, o szczęściu rodaków.* Ów Ks. Kurator przybywszy po śmierci Czackiego r. 1813. do Warszawy, uprzedził ustnie o znaczeniu owego spomnienia Czackiego o swoich nadziejach, tak jak je słyszał od niego samego na kilka dni przed jego śmiercią w Dubnie. Już złożonemu chorobą śniło się Tadeusz. Czackiemu, że z tamtego świata odwiedził go ojciec, zwiastując mu, że w krótce z nim się połączy. „Bądź wola Twoja,

jako w niebie tak i na ziemi," powiedział na to Tadeusz, „ale nim tę ziemię opuszczę, niechże od Ciebie, drogi mój Ojcze, jeszcze jednę powezmę nowinę, może dla pociechy rodaków naszych, to jest: *Czy będzie Polska?*" Tu zastanowił się ojciec, a po chwili namysłu wyrzekł: „*Będzie Polska: ale ty tego nie doczekasz.*" Szóstego dnia potém rozstał się z tym światem Tadeusz Czacki, to jest d. 8. Lutego roku 1813.

Boruta, albo: Rozmowa o nim między Jéjmością, Jegomością, Plebanem i Szyprem.

(Wyjątek z Wieczorów badeńskich J. M. Ossolińskiego, dotąd drukiem nieogłoszonych.)

Jéjmość pewna na jednym i drugim glinkowatym około Opatowa folwarku, gdzie się, jak wiadomo, sławna pod imieniem *sendomirka*, we Gdańsku popłatna pszenica, rodzi, rachowała sobie... Byle statki powróciły z Fryoru i kochanych dosiów przywiozły, sprawię sobie rubran i córce kabat; zapłacę kolczyki, dokupię parę koni do fornalki, żebym i ja téż poszóstno, jak Pani Stolnikowa, jeździła.... kupowała.... i to.... i owo.... i coś.... jeszcze coś. Małoby arkusza na ten ausztuk.

Im leniwiéj żeglowały pieniądze, tém więcéj mnożyły się sprawunki. Jegomość téj Jéjmości inaczéj miłemi holendrami rozporządzał. Część puszczał na lichwę, część pakował do szkatuły, z któréj sam djabeł by ich nie wydobył, część posyłał do Węgier na wino. Jegomość kręcił bicz z piasku, Jéjmość wiedziała dobrze, na czém budowała.

Szyper wyglądany z taką niecierpliwością, z jaką w zimie czeka się na wiosnę, w przednowku na żniwo, w poście na Wielkanoc; nakoniec przycholował. Jéjmość z dnia na dzień czatowała na niego w oknie. Niczyja źrenica téż go piérwéj nie ujrzała, wybiegła na przeciwko, widziano, że gdy ledwo zsiadł z konia, poniżył był rękę do nóg Jéjmościnych. Jéjmość zakierowawszy się na bok, czém prędzéj broniąc niskiego ukłonu, spotkała tę rękę swoją. Zaraz potém sięgnęła do kieszeni po chustkę, ocierała sobie oczy, a zamiast co piérwéj leciała ku szyprowi, teraz gdyby jéj skrzydła opłonęły, albo je kto ołowiem obarczył, ledwo szła, i prawie za każdém stąpieniem odpoczywała sobie.

Skoro tylko Jéjmościne ach! ach! dojść mogło do uszu jakiego takiego, przerażało. Rzadka też mina szypra coś pomyślnego rokowała. Ledwo oboje zeszli do sieni, zaraz za progiem rozstrzelili się. Jéjmość poszła do swojéj komnaty, szyper jeszcze krok szedłszy, stanął wryty. Próżno ten i ów szpiegował na nim ładownego trzosu, próżno go się o kota pytał. Nieborak skrobał się w głowę, milczał, wzdychał. Nakoniec naparty od natrętów, półgębkiem bąknął: djabli go wzięli! Szło hasło: djabli go wzięli! z ust do ust, aż doszło do uszu Jegomości, który sobie pod zegarem drzymał; Jegomość zrywa się. Szyperli to, którego widzę przed sobą, albo mara, albo jego cień? On się nie rusza, nie gada! Jegomość przetarłszy źrenice, zawołał: Wszelki duch Pana Boga chwali! a trzos gdzie?

Jak owo jakiś Prorok, czy téż i nie Prorok (*), co w Jerozolimie oblężonéj biegając po murach wrzeszczał: Biada, biada temu miastu! zawsze biada!... i biada! — a nie więcéj; tak i szyper tysiąc razy pytany, jednę piosnkę śpiewał: że djabli wzięli! komużby dostarczało cierpliwości? Jegomość buch szypra w gębę. Szyper w ryk. Jéjmość na ten zgiełk przybiegła. Rozruch, tartas! Co tu z szyprem robić, który ręce łamie, a nie gada? Jak tylko djabła wspomniał, prosta rzecz była wezwać Księdza Proboszcza; nikomu wszakże na myśl to nie przyszło. Sam Pan Bóg przyprowadził na czas Prałata, który o wszystkiem, chociaż nie przez Ducha św., dobrze wiedział. Ksiądz Proboszcz zaczął exorcyzmować szypra. Szyper nie śmiał w górę oczu podnieść, owszem czegoś niemi pod ziemią szypłał. Jezuitka świadom zdawna, że i najlepszego żaka można grożnym tonem zahukać; rzekł słodziuchno: bratku, na nic prawdę dusić; co się już stało, inaczéj się nie stanie. Ulży się i Państwu na sercu, gdy się tandem dowiedzą, w co ich praca poszła; winieneś, błagaj miłosierdzia. Niewinieneś? oczyść się.

Westchnął serdecznie szyper, które westchnienie, gdyby dom był miał kilka piątr, aż do trzeciego byłoby dosięgło. Oczy w niebo zadarł, odcharknął, uderzył się w piersi, przeżegnał się nakoniec i w imię Boskie tak zaczął: Dzięki Bogu, dobrzem sprzedał moją pszeniczkę, odliczyłem pieniądze co do grosza, w złocie holenderskiém ważném, obrączkowém. Zapakowałem duszę w trzos; opasał się trzosem. Gdzież u sto katów ten trzos? przerwał Jegomość.... Ksiądz Proboszcz napomniał Jegomości, żeby człowieka nie mieszał. Szyper tedy snadno znalazł język w gębie, kończył: poszedłem do statków, naładowałem fracht.... wydałem szafarzowi leguminę dla flisów.... przeżegnałem ich krzyżem świętym.... okulbaczyłem szkapę.... wsiadłem na nią.... zaciąłem ją prętem.... ruszyłem.... chwała Bogu. Jadę i jadę.... jak jadę tak jadę.... krząknął Jegomość i pewnie nie byłby skończył na krząknieniu, gdyby go był Ksiądz Proboszcz czém prędzéj, uprzejmie za ręce ująwszy, do stołka nie przysadził. Szyper więc przy błogosławieństwie pasterskiém pojeżdżał.

(Dokończenie nastąpi.)

(*) Ob. o tém Józefa Żydowina: Starożytności hebrajskie.